

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 47.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{6}{18}$ sierpnia 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Edmund Wasilewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Złota kaplica i pomnik Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w Poznaniu (z dwoma drzeworytami). — Zamek biskupów krakowskich w Kielcach (z drzeworytem). Adam Kisiel, wojewoda kijowski (dokonczenie). — Wspomnienia z wycieczek po Galicji, Bukowinie i Mołdo-Wołoszczyźnie (dalszy ciąg). — Chwila żartu i pustoty (dokonczenie (z trzema drzeworytami)) — Szachy i rebus.

Edmund Wasilewski.

Szczupłe i niedokładne mamy wiadomości o życiu Edmunda Wasilewskiego: było ono uciążliwą pielgrzymką, jaką przebywa mniej więcej każdy co w świat wchodzi samotny, z wielkimi pragnieniami w duszy, bez środków do ich zaspokojenia, a myśl jego tworząca sobie ideały napotyka co chwila bolesną rzeczywistość, którą radaby skruszyć, przeistoczyć. Życie Edmunda było jednem nieprzerwanem pasmem tej walki pomiędzy ideałami i rzeczywistością, pomiędzy światem jakiego pragnął, a tym o który potracił. Jako poeta, potęgował w sobie odbierane wrażenia, przyjmował je gorączkowo, każdy cios uczuwał głębiej. Ani życie rodzinne, ani stanowisko w świecie, ani inne stosunki nie oddziaływały na stan cierpienia w jakim wrodzone usposobienie i okoliczności postawiły Wasilewskiego; zawsze samotny, w myśli swój zamknięty, nie wytrzymał tej walki na jaką narażało go rozdrażnione serce i nadzwyczaj wrażliwy umysł, i walka ta wyczerpała go w połowie zawodu; poeta nasz zszedł z tego świata, mając zaledwie lat trzydzieści dwa. Urodzony dnia 16 listopada 1814 roku we wsi Rogoźnie w b. departamencie lubelskim, z ojca Kajetana, matki Tekli z Głowińskich, umarł dnia 14 listopada 1846 roku w Krakowie. Umarł, jak żył — bez rozgłosu: na pogrzebie jego nie było tłumu, młodzież tylko porwała na ręce ubogą trumnę ukochanego jój śpiewaka i poniosła na cmentarz. Smutna to rzecz, iż człowiek taki jak Wasilewski, oprócz moralnych cierpień wspólnych wszystkim jemu podobnym, zmuszonym był jeszcze nieustannie walczyć z materyalnemi potrzebami i ciężkim trudem zarabiać na utrzymanie życia; bierna sympatya, oklask, zwyczajna moneta jaką ogół zbywa swoich poetów i artystów (nie mówimy tu o koncertantach), dostała się w udziale i Wasilewskiemu, środków zaś do życia szukać on musiał w pracy nie mającej żadnego związku z poezją i ukształceniem wyższem. Ta okoliczność, jak się

wyraża biograf jego p. Aleksander Szukiewicz, czemu jednak my nie bardzo chętniebyśmy uwierzyli, miała wyrodzić w nim niejakie zobojętnienie na rzeczy poezyi. To pewna, że Wasilewskiemu świat i życie wcale nie w świetnych przedstawiały się barwach; poezya jego, pomimo najczystszej, świętobliwego gruntu, trąci miejscami zbyt gorzką ironią, niejednokrotnie graniczącą niemal z bluźnierstwem, a ciągle zawody osobiste i nieosobiste nadawały mu, w chwilach nawet bardzo stanowczych, pozór zimnego i obojętnego na dalsze losy; bo, zdaniem tegoż biografu, Edmund tak

Lecz gdy pod śniegiem ziemia się rozgrzeje,
A słońce z góry promieniami rzuci,
Śnieżne widziadło w błoto się rozwieje ...
Szczęście gdy z pieśnią dziecka się uroni,
Z pieśnią niekształtną, bezdźwięczną dla ucha,
Już go młodzieniec hymnem nie dogoni,
Choćby wlał w niego cały zapal ducha.

Smutny i rozżalony poeta, widząc marniejące życie w próżnych zapasach z losem, przykrzył je sobie, nie sądził się tu użytecznym i bez żalu wybierał się w zaświatową podróż, mówiąc:

Co mi tam! wszystko mi jedno,
Krócej czy dłużej na świecie!
Polecę z mą duszą biedną
Dla siebie, dla was po kwiecie!...

Ufny w przyszłość, widział przed sobą nieprzerwaną nić wieków i pokoleń, a nietylko nie sądził aby człowiek opuszczając ziemię i ludzi, zrywał z niemi stosunek wszelki, ale owszem uważał że duch jego, uzacniony cierpieniem, mieszka pośród braci, aby ich cieszyć i wspierać: śmierć tedy uważał nie za znamię nicości, ale za konieczną poprzedniczkę wesołego alleluja; więc też jego requiem radosnem jest raczej jak szmer nadziei, niż bolącym jak bezpowrotne rozstanie, jest ono jakby apoteozą dobroczynnej śmierci:

Bo ta mumia, — ten świat cały,
Już zapełniał i zestarzał;
Niegdyś z ziarn półbogów stwarzał,
Dzisiaj te ziarna już skarłowaciały!

Świat się wysilił, więc go w trumnę włożyć,
A trumnę wziąć na ramiona,
Póki zupełnie nie skona,
Do grobu z nim, by nie dać mu skonania dożyć!...
Do grobów! grób życie daje,
Nie jęczeć w mękach konania;
Konając nie doczeka się nikt zmartwychwstania,
Bo tylko z grobów się zmartwychpowstaje.

Szkoda że wydawcy poezyj Wasilewskiego nie oznaczyli w jego pracach chronologicznego porządku, to ułatwiłoby znacznie śledzenie rozwijania się postępu i wewnętrznie działających przyczyn, tudzież zwrotów jakie przebywała myśl autora. Nie każdy to poeta

tak się sam jasno ze swemi pobudkami postawi względem czytelnika jak Mickiewicz; on, kiedy sam pisze: *Gustavus hic obiit*, od razu sam nakreśla granicę zwrotu z jakiego występuje i w jaki wkroczyć zamierza; on sam tu jest pomocą i wskazówką dla późniejszego badacza pomników literatury. Ale



EDMUND WASILEWSKI.

z wątpił o szczęściu, że mu nawet każdy zabłysek jego zdawał się zabłykiem próchna, które choć świeci, ale nie grzeje. O tém szczęściu, za którym nadaremnie wzdychał, tak się on wyraża:

Tam — tam u źródła w początku biegu
Blyszczy jak srebrne jasne łono śniegu.

z Wasilewskim rzecz się ma inaczej. On albo nie miał jednej górującej idei w pewnych dobach swego życia, ale zawsze upędzał się zarówno za wszystkiemi co go silniej interesowało; albo też, jeżeli czas i okoliczności nadawały wydatniejszą w pewnych momentach barwę jego pragnieniom, barwy te i różnice zażyły się brakiem systematu w wydaniu jego poezyj.

Cóżkolwiek bądź, czy to bezwzględnie, czy w skutek pewnych modyfikacji idei i kierunku, zbiór poezyj Wasilewskiego przedstawia trzy zwroty: egotyczny, ludowy i społeczny: z pewną nawet historyczną barwą.

Pałająca jego dusza najbardziej lubiła się wylewać w krótkich lirycznych wrotkach, w sonetach i dytyrambach; wszystkie zaś jego marzenia i żale odbiły się najwyraźniej w obszerniej fantazji p. t. *Dziecię szalu*, która jest jego spowiedzią przed światem, niby bolesnemi tony wyśpiewaną historią jego życia w uczuciowej treści. Czysta a nieszczęśliwa miłość jest tam tematem panującym, który przepływa i po wielu innych kartkach: to wiąże się z obserwacją nad światem i ludźmi, to narzeka z Werterem, to filozofuje z Child-Haroldem. Taka egotyczność, wyrażająca się zwłaszcza tonem erotycznego uczucia, potrzebuje wysoko twórczej indywidualności, ażeby zwyczajnym, powszechnym oddźwiękiem rozkochanego serca, nadać uroczy ton poezji. Do takiego tonu nie zawsze wznosi się Wasilewski: o ile prawda silną jest sama przez się, o tyle sympatyzujemy z nim jako z człowiekiem, — poeta porwać nas za sobą nie może; skłonni bylibyśmy nawet powiedzieć, że to czego natchniony kochanek-poeta dokonywa czarodziejstwem fantazji wplątanej w uczucie, Wasilewski stara się sprowadzić naciskiem słów, wrzaskiem chorobliwym, co jakby pochodził nie z serca ale z ust tylko, dla zwrócenia czyjś uwagi. Ten egotyczny element w rzeczach romansowych odznacza się tu rzeczywiście szalem raczej niżeli zapalem poetyckim; szczęśliwiej rozwija się on w rzeczach obserwacji i ironii, której wyrazem jest na przykład znany bardzo wiersz p. t. *Drżem sobie duszo*.

Jakże innym jest Wasilewski, kiedy zapomina o swój biędzie, weselszym okiem i w lepszym humorze spogląda naokoło siebie, szukając przedmiotu do któregoby mógł sercem przyrosnąć. Takim przedmiotem jest dla niego krakowski lud. Wpatrzył się on w jego życie i obyczaje, w charakter moralny, wsłuchał się w jego pieśni, przeniknął go na wskrós, pokochał całym sercem i uwił dlań na pamiątkę prześliczny wieniec niezapominajek w zbiorze *Krakowiaków*. Daleki od wszelkiej osobistej fantazji, którą inni poeci kładą na karb pomysłów ludowych, jest on tylko wiernym ale zarazem idealnym tłumaczem uczuć samego ludu, w ich najrozmaitszych i najdrobniejszych odcieniach. Nie oszpecił on swego utworu żadną dowolną myślą, której lud nie ma i mieć nie może, ani też żadnym chłopizmem, bo sztuka nie naturze nie wykrada, ale tylko idealną jej stronę własnymi odwzorowuje środkami. Otóż więc Wasilewski na tej artystycznej kanwie, językiem swoim, szlachetnym, bez żadnego nakręcania do chłopskiego narzecza, rozprowadził wszystkie barwy miejscowego charakteru, w formie zawarowanej melodyami ludu, zachowawszy całą prostotę i serdeczną naiwność, która cechuje lud i wszystkiego pomysły. Krótko mówiąc, jego krakowiaki są w gruncie tak czysto rodzinne jak te, które się snują po wiejskich chatkach, a wyglądają jak w symfonii Dobrzyńskiego, wzbogacone potęgą sztuki. Biograf jego powiada, że one stały się już pieśniami ludu. Daj Boże aby tak było, byłby to tryumf prawdziwy, lubo nie wiem, bo lud nie bardzo jest łakomy na to co mu z góry przychodzi; ale w każdym razie, choćby te krakowiaki były tylko dla nas, są one dziełem niepospolitym, istotnie poetycznym. Lud krakowski w tych jego pieśniach gwałtem każe się kochać. Dziwna rzecz, iż Wasilewski miłość swoją osobistą wrzaskliwie tylko opisywać umiał; tu kreśląc miłość wieśniaków i przeprowadzając ją przez tysiączne modulacje, jest wszędzie tak żywy, szczery i prawdziwy, że nam zdaje się sam zakochanym. Kiedy jego Krakowiak mówi czy o Bogu, czy o kraju, o Wawelu, albo Wiśle, czy wspomni o starym mundurze, to w tych cichych, połykanych słowach sypią się iskry zapala. A wszędzie prawda, wszędzie pojęcie czysto ludowe; może tylko w historycznych oddźwiękach znajdzie się coś nieludowego tonu, bo też przy-

puszczamy że krakowiak, co się powołuje na historią, to musi już być otarty po świecie, zbliżony do klasy wyższej dolą i interesem, więc już i wyrażenia jego noszą na sobie cechę wspomnień wyższego świata. Gdzie zaś treść nie odrywa się od ziemi rolniczej, od życia codziennego, ton pieśni pozostaje w całej prostocie wieśniaczej, która tu najwięcej może ma jedności w wierszu p. t. *Swaty*, przedstawiającym scenę obyczajową. Nie możemy niepowtórzyć za poetą choć kilku wrotek tą prostotą nacechowanych. Po wszystkich preliminariach, dziewczyna odpowiada swatom:

Kiedy taka wola Boska, ja się nie przeciwuję,
Będę kochać mego Stacha, bo żyje poczciwie,
Bo żyje poczciwie, na wojenkę chodził,
Swoję Halkę kochał, a dziewcząt nie zwodził.

A ojciec jej kończy, mówiąc do narzeczonego:

I my zezwalamy i błogosławimy,
Czarnej ziemi zagon na wiano dajemy.
A ty pomnij Stachu byś wiana nie stracił,
Halce za wianeczek biędą nie odpłacił.

Od tego tonu prostoty łatwo było przejść pocie do poważnego nastroju w obec wielkiej myśli dziejowej, którą wyczytywał z katedry na Wawelu. Góra ta, około której gromadzi się tyle wspomnień i tyle widomych pamiątek życia narodowego, jest dla naszego poety Olimpem, Hebronem, słowem środkowym punktem świata. Do niej on zwraca się nieustannie, bo tam każdy przedmiot, każda ścieżka i drzewina, każdy zabytek, nasuwa na myśl tysiące drogich widziadeł... Jak na polu ludowym, tak i tu, Wasilewski jest prawdziwym poetą. Nie starał się on o zewnętrzną ogładę, pod parciem gorącego uczucia pisał co mu nasuwała myśl, jednym tchem, bez przerwy. W katedrze wawelskiej nie widać sztuki, ale jest zapal i prawda uczucia. Myśl która mu przewodniczyła w tym poemacie krąży we wszystkich jego pracach, bo ona była dla niego nieodstępnym domowym bożyszczem. Wyznawał ją z wiarą i poświęceniem, ona kosztowała go życie; więc też go dzien był znaleźć miejsce spoczynku obok tych mogił, które zdobią dolinę Wawelu.

Kazimierz Kaszewski.

Kronika tygodniowa.

Mnóstwo do nas przez ten tydzień przysłało korespondencyj, chociaż niestety bardzo mały z nich możemy zrobić użytek.

Więc przedewszystkiem musimy odpowiedzieć kantorowi małżeństw, który się zawiązał w Płocku pod firmą pani Bogumiły Prawdzińskiej, że doniesienia przysłanego nam nie możemy umieścić. Czujemy tak samo jak osoba która to doniesienie podpisała, coraz większe trudności jakie zawiązywanie związków małżeńskich spotyka tutaj; kilka nawet razy wspominaliśmy o tém mimochodem. Ale niestety, usunięcie tych trudności niezależnym jest od kronikarzy tygodniowych, a nawet od kantorów małżeństw, chociażby ich się nie jeden lecz kilka zawiązało. Wynikają te trudności z coraz wzrastającej stopy utrzymania życia, ze zbytku wkradającego się we wszystkie prawie klasy społeczeństwa, a skutkiem tego z niedostatecznej liczby młodzieży zdolnej pod względem pieniężnym wchodzić w związki małżeńskie. Za granicą, gdzie środki zarobkowania daleko są obfitsze, takie kantory małżeństw mogą się utrzymywać i znajdują zawsze nowych kandydatów do zamieszczenia na swoich listach. U nas stan rzeczy zupełnie odmienny, bo ci którzy mogą się żenić, obejdują się bez kantorów, najobrotniejszy zaś pośrednik nie zdoła zapewnić utrzymania tam, gdzie go niema w rzeczywistości. A może i lepiej nam z tém, bo takie zmateryalizowanie najważniejszej chwili życia i stawianie jej na równi ze zwykłemi obrotami handlarskimi, należy niewątpliwie do najniefortunniejszych wymysłów tegoczesnej cywilizacji.

Również niepodobna nam zamieścić ani fotografii, ani opisów charakterów osób podanych przez kantor, wychodzi to bowiem po za zakres jaki sobie Tygodnik Illustrowany naznaczył. Nawet trudną byłoby rzeczą dogodzić interessantowi, który „nie lubi czarnych kołających oczów, ale ciemne, łagodne, aksamitne, i odcy tych krynolin nie cierpi.“ Dotąd słyszeliśmy że z aksamitu wyrabiają się mantylki i kołnierze do paltotów, a nie oczy panien lub wdów do wzięcia;

zaś co do krynolinowej kwestyi, to wątpimy żeby która z dam naszych zgodziła się odstąpieniem od ulubionego stroju okupić rękę mężczyzny, nawet stokroć zasobniejszego w przyimoty, aniżeli wymieniony na pierwszym numerze wykazu pretendentów do małżeństw. Niechajże więc pani Prawdzińska szuka sobie innego rodzaju rozgłosu dla swojego procederu, w którym zresztą życzymy jej jaknajlepszemu powodzenia, chociaż sami skutecznie ku temu dopomóż nie czujemy się w możności.

Wyraziliśmy przekonanie o przywiązaniu naszych dam do krynolin; musimy więc donieść o wypadku w którym stały się one przyczyną śmierci. Pewna dama na Ukrainie, wyjechawszy na spacer wraz z dziećmi, wyrzuconą została z powozu przez rozbiegane konie, i w chwili wypadku tak nieszczęśliwie upłatała się w krynolinę, która, jak wiadomo, zaledwie mieści się w zwyczajnym powozie, że natychmiastowa śmierć nastąpiła. Służąca i dzieci, wolne od tego fatalnego stroju, zostały przy życiu, z wyjątkiem chłopczyka, który otrzymał kilka ran, nienarazających go jednak na niebezpieczeństwo.

Drugiego wypadku, podanego nam przez tegoż samego korespondenta, a który uderza dziwnym podobieństwem do sławnego procesu sądowego w zeszłym roku we Francji, nie możemy tu podawać, chociażby dla poważnego charakteru osoby grającej tam jedną z głównych ról. Niestety, nie sam tylko Zachód posiada monopol smutnych nadużyć i wykroczeń przeciwko moralności publicznej; my jednak tę jeszcze mamy wyższość, że przewinienia podobnego rodzaju pokrywamy milczeniem i wstydzimy się ich. Uwodziciel Leonii Chercou, w żadnym razie nie byłby u nas bohaterem, księgarz nie zamawiałby za grube pieniądze jego pamiątek, a właściciel zakładu publicznego nie płaciłby mu za okazywanie się gościom i ściąganie tym sposobem do siebie licznej publiczności.

Większa część hotelu europejskiego jest już ukończoną, oprócz frontu od krakowskiego przedmieścia, który dotąd jeszcze stoi nietknięty. Słyszeliśmy że właściciele mają zamiar zbudować tam wielką salę balową i koncertową, urządzoną podług wszelkich najzwyklejszych tegoczesnych wymagań. Sala ta będzie rzuconą od jednej oficyny do drugiej, przez długość całego podwórka (kilkadziesiąt łokci), ma być cała oszklona, a podpierać ją będą filary, pod któremi ma być urządzony przejazd dla powozów. Anszlag téj sali wyrachowano na sto kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich. Koszt ogromny, ale z pewnością się opłaci, bo taka sala w środku miasta wybornie się będzie procentować. Dotąd jeszcze artyści przyjeżdżający do naszego miasta nie mają po prawdzie dogodnego miejsca do urządzania koncertów, a w takiej sali, zwłaszcza w zimie, mogą być ciągle zebrania muzykalne i zabawy innego rodzaju.

W kronice naszej wspominaliśmy już raz o projekcie otworzenia komunikacji pomiędzy ulicą Niecałą a Saskim ogrodem. Wiadomo że dom który głąb ulicy Niecałej zajmuje, a którego tyły na Saski ogród wychodzą, ma wkrótce przebudowywać się na nowo; jak słyszeliśmy powzięto nawet zamiar zbudowania tam na wielką stopę łazienek, do którychby wody z łatwością mógł dostarczać wodozbiór z Saskiego ogrodu, a które umieszczone w środku miasta, stałyby się dla Warszawian niemałą dogodnością. Dotychczas jednak, jak nam doniesiono, nie przyszło do zgody pomiędzy właścicielem pomienionego domu a miastem, co do wynagrodzenia mającego się przeznaczyć za pozwolenie wybicia bramy, któraby stanowiła ową komunikację nader dogodną dla miasta. Toż samo ma miejsce co do kawałka zabudowania na Bielańskiej ulicy, który również miasto pragnie odkupić dla wzniesienia tam przejazdu; bo przy posunięciu, jak to obecnie ma miejsce, kraty gmachu mennicznego, kawałek ten starzej i nędzniej już budowlą stanowi rzeczywistą przeszkodę tak dla powozów, jak i dla pieszych, zaciemnia widok i szpeci ulicę. I tu zachodzą podobno także różne trudności co do ceny za tę część starego domostwa wymaganą. Nie naszą jest rzeczą wdawać się w rozstrzygnięcie sporów podobnego rodzaju; ale zdaje się nam że jeżeli słusznym jest aby prywatny właściciel ciągnął o ile możności największe zyski ze swojej własności, jeżeli to mu się da bez niczyjej krzywdy uczynić, to z drugiej strony przesadzone żądania jednostek w sprawie która korzyść publiczną ma na celu, nie

powinny mieć miejsca. Widzieliśmy niedawno nawet, kiedy rzecz szła o budowę kolei żelaznej petersbursko-warszawskiej, że takie przesadzone żądania nigdy się nie obrócają na korzyść żądającego. Wszak również niemało stracili właściciele starych domostw przy nowym zjeździe do Wisły, kiedy z powodu zbyt wielkich wymagań ominęto te ich domostwa. Piękny jest bardzo fakt o młynarzu w Sans-souci i przynoszący zaszczyt Fryderykowi Wielkiemu, ale okoliczności temu faktowi towarzyszące nie wszędzie i nie zawsze dadzą się zastosować. Tam mianowicie, gdzie zobopólna i wyraźna istnieje korzyść, interes powinienby szybko dojść do skutku na umiarkowanych warunkach.

I któżby się mógł domyśleć, że nowego rodzaju zakład hamburski znajduje się w Warszawie? A jednak to fakt niezaprzeczony. Na jednej z głównych ulic naszego miasta istnieje miejsce, w którym znajduje się prawdziwy dom gry dla lokajów, froterów i innego gatunku służących mezkich. A summy przegrywane i wygrywane tam do kilkudziesięciu, a czasem do kilkuset złp. dochodzą. Łatwo jest bardzo wskazać skutki możebne wynikające z tych nocnych wycieczek i oddawania się grze. Służący demoralizują się tym sposobem; nie dospawczy w nocy, żadną miarą nie mogą pilnować roboty we dnie, a często bardzo posuwają się do kradzieży, żeby wynagrodzić sobie straty przez grę poniesione, lub żeby spłacić długi na ten cel zaciągnięte. Jednemu z moich znajomych zbiegł służący, skradłszy mu całe ubranie i niemało kosztowności. Śledztwo wykryło wprawdzie winnego, ale przedmiotów straconych nie można już było odzyskać. Otóż doniesiono poszkodowanemu, że służący jego znajdował się często na tych schadzkach nocnych i tam spore nawet względnie summy przegrywał. Więc i powód kradzieży jasny.

Mnie się zdaje, że ci panowie łatwo by mogli się obejść bez podobnego klubu. I tak u nas demoralizacja między sługami wielka; rzadko gdzie lokaj albo służąca dłużej niż kwartał wytrzymają na miejscu. A ileż to wymagań, a jak mało pracy za to! W Warszawie kilku służących za ledwie starczy na robotę, której za granicą, w Niemczech lub Francji, jedna sługa z łatwością da rady. Pomiedzy lokajami o kradzież nie trudno. Już to z pieniędzmi, to jeszcze jak się trafi, ale cygar w miejscu niezamkniętym niepodobnie jest trzymać, bo gdzie lokaj któryby się oparł pokusie ściągnięcia jednego albo dwóch? Ziarko do ziarka, zbierze się miarka. Tego rodzaju wykroczenia tak się stały zwyczajnymi, że nawet już na nie wielu nie zważa. A to wielki błąd. Z przekroczeń małych do ważniejszych droga łatwa, i ten który od cygar zaczyna, kończy zwykle na pieniądzach. Szczególniej ci z młodzieży, którzy drobne wydatki powierzają lokajom, nie przeglądając rachunku, grzeszą nieopatrznością. Sumienie na tych małych oszukaństwach zaprawione staje się elastycznym, a kradzież domowa najniebezpieczniejszą jest ze wszystkich kradzieży: jeżeli złodziej powoli a ostrożnie ją uskutecznia, to trudno ją poznać.

Chcielibyśmy po prawdzie wspomnieć co o ruchu wydawniczym u nas, chociażby dlatego, ażeby zadowolnić niektórych krytyków, co nam obojętność pod tym względem zarzucają. Ale jakże tu wspominać o tym co nie istnieje. Nowości nic a nic: wszystkie się zawarły w dziennikach, w pismach peryodycznych i nie wychodzą z tamtąd. Kiedy inne pisma, które wyłącznie tylko literaturze i krytyce powinny być poświęcone, już i dawniej niebardzo raźnie brały się do rzeczy, a teraz naprawdę nie mają co wziąć pod pióro, coż biedny sprawozdawca tygodniowy pocnie? Publikacja np. pana Dłużniewskiego p. t. „Pogląd na dzieje ludzkie z dwunastu punktów w 304 i pół letniej równoległości“ przed wydrukowaniem jeszcze rozbierną była przez pisma peryodyczne. Nie przeczymy że kombinacje liczbowe do bardzo dziwnych czasem doprowadzają rezultatów. Wszakże pewna część filozofii greckiej na liczbach tylko była oparta; w kabale hebrajskiej, w komentarzach buddaistycznych, w marzeniach mistyków średniowiecznych, w teoryach narzecze alchemików i astrologów liczby wielką bardzo grały rolę. Ja sam czytałem i posiadam obszerny traktat o liczbie 5, której tom cały jest poświęcony. Co zaś do systematu pana Dłużniewskiego, dowcipnie on jest ułożony i jako komentarz doń służy kilka ważnych elementarnych wiadomości z historii powszechnej, których wynik i stosunki pan Dłużniewski do

swojego sposobu widzenia nagina, przyrzekając dać obszerniejszy wykład nowszej epoki. Chcemy więc na ten obszerniejszy wykład poczekać, boć to najważniejsza część jego pracy.

W Bibliotece Warszawskiej podany jest klucz do wynalezienia grobowca Malczewskiego, wartoby więc z tej wiadomości korzystać. Moznaby, niezależnie od grobowca położonego pocieprzez p. Skimborowicza, inny jaki okazalszy wystawić; wszak mamy kilku zdolnych rzeźbiarzy, a publiczność nasza kilkakrotnie już dowiodła pochopności swojej do składek na takie cele zbieranych. Zaslugom krajowym stawiamy pomniki przynajmniej takie, jakimi rozporządzać możemy!

Ogłoszony został konkurs na obraz mający przedstawiać bitwę pod Grunwaldem i Tannenbergiem. Pierwszy to podobno konkurs malarski u nas. Zobaczymy jakie owoce przyniesie i czy poprze zdania tych, którzy utrzymują że konkursy są bezużyteczne.

Zawsze mówiłem że we wszystkiemu prawie panuje u nas przesada. Ot na przykład uskarżamy się ciągle na obojętność publiczności naszej dla sztuki. Gdzież tam, lubowników u nas nie brak, bardzo się łatwo o tym przekonać. Wszakże niedawno pan Gierdziejewski umieścił w pismach publicznych doniesienie, że mu skradziono album z różnymi szkicami i widokami włoskimi. Jużćie nie kto inny, chyba wielki lubownik malarstwa musiał skraść takie album!

Podobno pan Julian Kossak zamierza przenieść się na mieszkanie do Warszawy. Dobra to nowina, bo zdolny ten artysta przynosi szczęście naszemu malarstwu; już poprzedni pobyt jego w Warszawie ożywił zamiłowanie do sztuki. Tak utrzymują ludzie przesadni, a my dodamy po cichu, że nie ze wszystkiemu ich zdanie potępiamy. Zobaczymy.

ZŁOTA KAPLICA I POMNIK

MIECZYŚLAWA I. I BOLEŚLAWA I.

KRÓLÓW POLSKICH

W POZNANIU.

Złota kaplica w Poznaniu, arcydzieło sztuki budowniczej, łączy historią swą z dziejami pełnego zasług Edwarda hr. Raczyńskiego, którego żywot kiedyś może będzie dla nas przedmiotem oddzielnego opisu. Raczyński, rzucając chętnie tysiącami, gdy szło o wykonanie jakiej pięknej myśli, czy ta miała źródło w pragnieniu dobra ogólnego, czy w miłości nauki lub sztuki, między innymi pamiątkami udarował Poznań ową kaplicą i pomnikiem, o wzniesieniu których chcemy słów kilka powiedzieć, tém więcej że do obojga wiąże się pamięć niejednej bolesnej chwili, co zatruła ostatnie jego lata.

Zwłoki Mieczysława I i jego syna Bolesława Chrobrego, dwóch pierwszych chrześcijańskich królów polskich, spoczywały w środku kościoła katedralnego poznańskiego; kapituła tamtejsza uchwaliła w 1494 roku, aby nad ich grobowcem, dniem i nocą światło gorzało. W r. 1744, w miejscu dawnego pomnika, kazała kapituła wystawić nowy i śród uroczystego nabożeństwa przeniosła ich zwłoki do innej trumny. W r. 1766 zniesiono stary, niedokładny rysunek, o ile ze stylu jego sądzić można, bardzo dawny grobowiec, a wystawiono nowy, który skutkiem zawalenia się w 1790 r. wieży kościelnej zburzony został. Rozebrano zgruchotany pomnik, a kości zebrano w trumienkę, którą zapieczętowawszy, umieszczono w kapitulniku kościoła katedralnego.

W r. 1814 ks. Tymoteusz Gorzyński, biskup poznański, podniósł myśl wzniesienia królom nowego pomnika, na co przeznaczył dziesiątą część swoich dochodów; przeprowadzenie zaś pierwotnego pomysłu należy przyznać ks. Wolickiemu, proboszczowi katedralnemu gnieźnieńskiemu, później arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, który w dniu 2 lipca 1816 roku wydał do swych ziomeków odezwę, w celu zebrania przez składki funduszu na wykończenie pomnika. Serdeczna odezwa ks. Wolickiego z zapalem przyjęta została; sypnęły się ofiary, co później pomnożyły znacznie fundusze.

Na sejmie prowincjonalnym poznańskim, złożonym 1826 r. podniósł Raczyński projekt wzniesienia pomnika; obradujący posłowie jednogłośnie przyklasnęli pięknej myśli. Zaczęto dalej zbierać składki, które w r. 1830 oddane w ręce generalnej dyrekcji

Towarzystwa kredytowego w Poznaniu, powiększyły się przez dołączane co rok procenta.

W r. 1829 zmarł ks. arcybiskup Wolicki; sejm zwołany w następnym roku przedstawił rządowi życzenie, co do wystawienia wzmiankowanego pomnika. Król przychylił się do prośby i wyznaczył komitet, mający się zająć tym przedmiotem. Do składu komitetu powołano: 1) księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika królewskiego w w. ks. poznańskim; 2) ks. Przyłuskiego, proboszcza katedralnego gnieźnieńskiego; 3) hr. Edwarda Raczyńskiego. Prezydującym był ks. Radziwiłł.

Tenże prezydujący projektował, aby na placu przed kościołem parafialnym zbudować amfiteatr w półkole, z sześcioma rzędami siedzeń, a w pośrodku postawić posągi obu monarchów. Obszerny pod nimi postument, miał obejmować kapliczkę, a w niej ołtarz i marmurową trumnę ze zwłokami królów. Plan ten nie przyszedł do skutku z powodu zbyt wysokich kosztów, obliczonych na 53,000 talarów, wówczas kiedy fundusz zebrany nie wynosił jeszcze szóstej części summy. Utrzymał się projekt Raczyńskiego co do kaplicy, którą komitet uchwalił urządzić przy kościele katedralnym w Poznaniu.

Raczyński, najczynniejszy z wyznaczonych członków, przedsięwziął umyślną podróż do Włoch, gdzie mógł najwięcej zebrać stosownych wzorów z zabytków sztuki średniowiecznej. Szło mu głównie o wybór stylu, w jakim kaplica miała być ozdobiona i uznał, że jeden tylko styl byzantyjski odpowiedni jest wiekowi w jakim żyli królowie, i że za ich czasów styl ten jedynie wykształcony, przechował ślady w Europie. Raczyński z podróży swjej przywiózł plany byzantyjskich budowli: bazyliki św. Marka w Wenecyi, kościoła św. Apolinarego i Witalisa w Rawennie, opactwa Monreale w Sycylii, klasztoru franciszkanek i kaplicy zamku królewskiego w Palermo, a nadto zebrał inne rysunki budowli na Wschodzie w tymże stylu wzniesionych.

Po powrocie Raczyńskiego wezwano do sporządzenia planów kawalera Lanci, członka akademii św. Łukasza w Rzymie, znanego architekta, który do własnych pomysłów przystosował przywiezione rysunki.

Zająto się następnie przyozdobieniem wnętrza kaplicy. Osądzono, że malowanie *al fresco* w naszym klimacie łatwo podlega zepsuciu, równie jak malowanie olejne na ścianie tynkowanej wapnem, którego ostrość sprawia, że po kilku latach farby odstają od murów, kruszą się i odpadają. Przyjęto więc dawny sposób malowania *enkaustyczny*, czyli na woskowej zaprawie, które, jak uczyło doświadczenie, w naszym klimacie jest trwałe, a blask farb przewyższa żywocśc olejnego malowania. Do tej pracy wezwano wynalazcę powyższego sposobu p. Müllera, który ją rozpoczął w r. 1837 na wiosnę.

Załączona tu rycina przedstawia wnętrze kaplicy w przecięciu środkowym. Pomimo dokładności rysunku, za ledwie jednak daje słabe wyobrażenie o jej piękności. Wielkość kaplicy jest średnia, całe ściany wyłoczone, od czego nazwano ją *złotą*; podłoga mozaikowa najpiękniej ułożona; z lewej strony pomnik, z prawej zaś grobowce. Nawet obraz olejnymi farbami zrobiony, nie byłby w stanie oddać wiernie tych wszystkich odcieni i bogactwa kolorytu jakie tu otrzymała sztuka, przez połączenie w harmonijną całość złota, purpury, lazuru i innych barw rozlicznych.

Na sklepieniu widzimy figurę Boga Ojca, otoczonego cherubinami i serafinami, poniżej roztacza się koło świętych Polaków i Polek; herby ich i znakomitszych rodzin szlacheckich polskich, wyrobione w pięknie rzeźbionych medalionach, umieścił architekt na głównym gzymsie pod sklepieniem. Pod tym gzymsem, w zaokrąglonych trójkątach, między arkadami, błyszczą herby biskupstw, założonych przez Mieczysława I i Bolesława Chrobrego; pomiędzy nimi zaginają się kuliste łuki, właściwe architekturze byzantyjskiej, w których po jednej stronie są okna kaplicy, a po drugiej łóże; po bokach zaś obrazy, mające związek z historią obu królów. Łuki te opierają się o kolumny, na których stoją figury aniołów. Nad łukami jak i na ścianach umieszczono piękne arabeski, wzięte z wzorów jakie się znajdują na drzwiach spiżowych, darowanych kościołowi gnieźnieńskiemu przez Bolesława Chrobrego.

Małżonka hrabiego Raczyńskiego (z domu hr. Potocka), znana jako artystka-malarka, udarowała głów-

wny ołtarz tój kaplicy prześliczną a wspaniałą mozaiką, wyobrażającą Najświętszą Pannę, dzieło profesora Salandri w Wenecyi. Mozaika ta na podwójne kosza naraziła hr. Raczyńską, albowiem na wystawie w Berlinie, przez niezręczne rozpakowanie, uległa stłuczeniu. Hrabina nie cofnęła się jednak przed nowym wydatkiem 5000 talarów i kazała obraz ten wykonać w zupełności, podług pierwotnego rysunku.

Tak przyozdobiona kaplica, została przedmiotem podziwu nietylko mieszkańców w. ks. poznańskiego, ale i obcych podróżnych zwiedzających stołeczne jego miasto. Wszakże Raczyński nie spoczął, a pragnąc ją więcej przyozdobić, powziął plan wielkiego malowidła, któreby przedstawiało Mieczysława I burzącego bałwany. Wykonanie tego obrazu powierzono znamienitemu artyście, p. Januaremu Suchodolskiemu, który się w zupełności wywiązał z tak wielkiego zadania. Pod obrazem umieszczono napis polski: *Mieczysław I kruszy bałwany*.

Po kaplicy, została do spełnienia druga część zadania; należało wzniesić pomnik dwom pierwszym królom polskim. Raczyński zlecił profesorowi Rauch w Berlinie wymodelować i odlać z brązu ich posągi, które po ukończeniu ustawiono w lewej stronie kaplicy. Na podłużnym, wyniosłym piedestale, stoi posąg Mieczysława, w sukni podobnej do tych, jakich królowie używali przy koronacji; na głowie ma koronę w kształcie czapki, zakończoną krzyżem, w lewej ręce trzyma wysoką laskę, przypominającą formę pastorału biskupiego, w którą wetknięty jest w górze krzyż; prawą ręką wskazuje synowi godło zbawienia. Po lewej jego stronie stoi posąg Bolesława Chrobrego, cały w zbroi, z odsuniętą przyłbicą, którą otacza korona; płaszcz zarzucony na prawym ramieniu spada z tyłu; w prawej ręce trzyma miecz, lewą ujął się pod bok. Na piedestale wyryte napisy: *Mieczysław I, Bolesław Chrobry*.

Naprzeciw posągów w niszy, stoi sarkofag, w którym złożono szczątki kości królów; umieszczono na nim w około odłamki kamiennych ozdób z starego nadgrobia Chrobrego. Mozaikową posadzkę kaplicy zrobił professor Salandri z Wenecyi; tak dla niej jak i dla sarkofagu sporządził plany odpowiednie smakowi kaplicy kawaler Lanci.

Składka, zebrana z dobrowolnych ofiar, wyniosła 120,000 złp. i zaledwie wystarczyła na wybudowanie samej kaplicy; na pomnik zaś ofiarował Raczyński z własnej szkatuły drugie 120,000 złp.

Wszakże Raczyński, przez brak należnej w tym razie uwagi, kazał na piedestale pomnika położyć napis: *ofiarował do tój kaplicy Edward Natęcz Raczyński*. To zachwiało na czas jakiś opinią, na którą tak szlachetnie pracował, i uznanie szczerze i mierzalnie zaskarbione. Powstały ogólne szemrania, potępiające czyn hrabiego. Na sejmie 1841 r. wniósł przeciw niemu oskarżenie Schuman. Niedosć tego, na sejmie poznańskim 1843 powtórzył je d. 4 kwietnia i projektował przesłanie petycji do Berlina, żeby król kazał zmienić napisy na pomniku, przyznające wzniesienie jego nie sejmowi i narodowi, ale komu innemu. Wprawdzie projekt ten odrzucony został 27 głosami

przeciw 14tu; jednakże Raczyński na następnej sessyi uczynił przeciw-wniosek: żeby cofnięto udzielone mu w 1830 r. upoważnienie do tój czynności; że zamierza wszelkie fundusze zebrane na wystawienie zwrócić z procentami; że wszystko co na to otrzymał oddać chce na ręce naczelnego prezesa i własnym funduszem pokryć kosza wykończenia kaplicy. Współobywatele, obradujący na sejmie, utrzymywali: że nie odniósłszy się do woli ogółu, nie powinien był wykladać z własnej kieszeni, by tym sposobem wyzyskiwać prawo umieszczenia nazwiska swego na pomniku wzniesić się winnym przez naród. Dowodzono że całe księstwo przyczyniło się do urzeczywistnienia myśli sejmu, i że złożony raz 120,000 złp., toż samo zrobić może powtórnie na zwrócenie forsusowych kosztów. Za niewłaściwą rzecz uznano, przyjmować bez

ZAMEK BISKUPÓW KRAKOWSKICH W KIELCACH.

Piękne to miasto Kielce, nadzwyczaj schludne, ciche, wesołe i zamożne, do czego bezwątpienia przyczynia się wzbronienie zamieszkania w nim starozakonnym, co już samo nadaje mu odrębną cechę od innych miast królestwa. Jest przytém bardzo starożytne, chociaż ma pozór zupełnie nowy, prócz kollegiaty i poczernionych starością murów zamku, co są jedynymi resztkami dawnych jego dziejów. Od niepamiętnych czasów Kielce należały do dóbr biskupów krakowskich, które były bardzo rozległe, a pasterze niesłychanie bogaci. Tu oni nawet od XIII wieku najczęściej przesiadywali i mieli dwór nader wspaniały, jak przystało tak wielkim dostojnikom, któ-

rych władza duchowna rozciągała się od rzeki Pilicy i Wieprza na północ, aż za Karpaty. Była to więc bardzo dawna siedziba biskupów krakowskich. Już w r. 1142 Radosław albo Gaudencyusz, czternasty z porządku biskup tój diecezji, mieszkał nie w Krakowie, lecz w pałacu kieleckim i w nim po długiej chorobie życie zakończył. W drugiej połowie XIII stulecia głośny z niegodnego życia biskup Paweł z Przemankowa często tu przesiadywał, bawiąc się wśród lasów kieleckich polowaniem lub huicznymi biesiadami, z wielkim dla duchowieństwa zgorznięciem. Tu w roku 1366 dnia 12 grudnia zmarł cnotliwy biskup Bodzenta Jankowski, a chętnie mieszkał pobożny i łagodny Jan Konarski. Na początku XVI stulecia cały dwór okazał choć z drzewa przebudował Piotr Tomicki, jeden z najznakomitszych ówczesnych dyplomatów w Europie. Następnie, kiedy królowa Bona w Chęcinach przebywała, biskup Piotr Gamrat zajmował pałac kielecki i słynął w nim z gościnności i ludzkości, kochany od gminu i ubogich, których codziennie stu żywił, odziewał i hojnie traktował; ztąd mu też przebaczano wtedy łatwo ujemną jego stronę: nierząd, pychę i żarłoctwo, więcej w historii niż jego przynioty znane. Po nim biskupi Piotr Myszkowski i Marcin Szyszkowski mieli także wielkie upodobanie przebywania w Kielcach. Wreszcie kiedy ów dwór drewniany, pochylony starością, mniej był dla bogatych pasterzy wygodnym, Jakub Zadzik kanclerz wielki koronny przebudował go prawie zupełnie na nowo w roku 1640



ZŁOTA KAPLICA W KOŚCIELE KATEDRALNYM W POZNANIU.

woli narodu ofiarę Raczyńskiego, która, jak utrzymywano, nie była potrzebną. Uplłynął jeszcze czas jakiś, a Raczyński, mimo żądania sejmu, nie usunął napisu z pomnika. Widząc wreszcie że dobre jego imię, o które dbał wiele, zaczyna upadać między ziomkami, że wraz z niem traci ich szacunek i miłość, własną ręką, na kilka dni przed śmiercią przypadłą dnia 20 stycznia 1845, zniszczył napis wyryty na grobowcach królewskich.

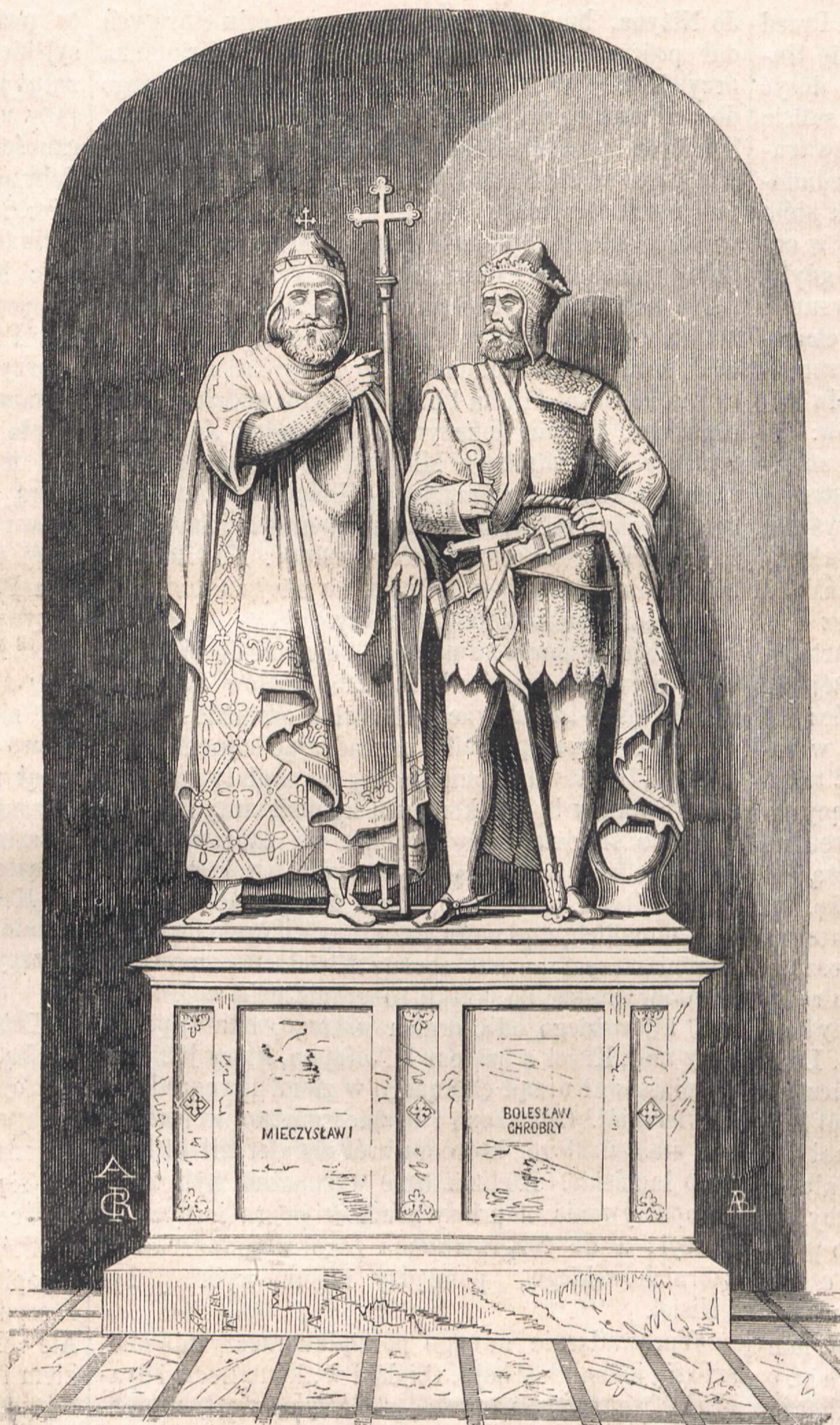
Po śmierci Raczyńskiego, pozostała wdowa, spełniając wolę męża, ogłosiła w Poznaniu 1845 r. drukiem całe sprawozdanie z czynności przy budowie *złotej kaplicy* i wznoszeniu pomnika, wraz z obroną męża i imiennym wykazem wszystkich osób przyjmujących udział w składce.

L. H.

z muru, w tój postaci w jakiej do naszych czasów dotrwałszy, na drugostronnym drzeworycie jest przedstawiony. Wprawdzie śmierć tego biskupa, w r. 1642 nastąpiona, nie dozwoliła mu zupełnie budowlę dokończyć, w testamencie jednak przeznaczył znaczne summy na prowadzenie dalej fabryki, a tym sposobem całkowicie prawie z jego szkatuły stanęła; następcy tylko ją wewnątrz urządzili i bardzo często w niej przemieszkiwali. W ciągu ubiegłego stulecia najdłużej tu bawili kardynał Jan Lipski i znany w historii Kajetan Sołtyk, który smutne tutaj dni przepędził i umarł w r. 1788 dnia 30 lipca. Nakoniec ostatnim z biskupów co zamek ten zajmowali był Wojciech Górski, biskup kielecki w r. 1818 zmarły. Po wcieleniu dóbr biskupich do skarbu, pałac przeznaczony był na szkołę górniczą oraz mieszkanie prezesów wojewódz-

stwa krakowskiego, później gubernatorów cywilnych gubernii kieleckiej, a po złączeniu tej ostatniej z gubernią sandomierską, oddany był na biuro sądu kryminalnego i na posiedzenia trybunału cywilnego, dawniej w gmachu poszpitalnym się mieszczących. Potem zajęto go na skład efektów wojskowych i lazaret, od czego uwolniony obecnie, cały gmach się restauruje, dla umieszczenia w nim przyszłych władz sądowych.

Zamek ten stoi na dość obszernym placu przed kolegiatą. Jestto budowla w pięknym bardzo a zupełnie oryginalnym stylu. Ponieważ jest on tak szeroki jak długi, więc dla tej znacznej szerokości nie jednym ale dwoma dachami jest pokryty, które to dachy łączą się z sobą rynną. Wielkie, pięknie dętowanymi kamieniami i marmurowymi futrynami otoczone okna, zdobią główną ścianę tego zamku, a po rogach wznoszą się cztery baszty ośmiokątne, podobne do wież kościelnych kopułkami zakończone. Niegdyś od strony cmentarza kolegiaty otoczony on był murem, miał strzelnice i bramy z ciosu, ręczny ogień wytrzymać zdolne, ślad czego pozostał w długim kruzganku, który go z kolegiatą, gmachem szkolnym, kościołkiem św. Trójcy i seminarjum łączy. Pierwsze piętro wspiera się na trzech arkadach sklepionych. Właściwa sień poprzedzona jest kolumnadą, czyli gankiem, pod którym nade drzwiami wchodowymi znajdują się herby państwa i kapituły krakowskiej. Mury łączące główną ścianę zamku z basztami, przyozdobione są czterema kamiennymi posągami, które po dwa z każdej strony budowli, przedzielone piramidami stoją. Posągi te wyobrażają parlamentarzy szwedzkich i ruskich, z którymi założyciel zamku z aszczytne dla Rzeczypospolitej traktaty zawierał. Z tych dwa, będące pamiątką traktatu wiazemskiego nad rzeką Polanówką w roku 1634 zawartego, przedstawiają ministrów cara Michała Teodorowicza w narodowych strojach, trzymających w ręku rzeczony traktat w arkuszowej formie, który zdają



POMNIK MIECZYSLAWA I I BOLESŁAWA CHROBREGO
W KAPLICY ŻŁOTÉJ W POZNAŃU.

się czytać. Drugie dwa po lewej stronie wyobrażają dwóch pełnomocników szwedzkich, którzy przy rozejmie sztandorfskim w roku 1635 się znajdowali.

Wewnątrz zamek mieści w sobie sale obszerne, malowidłami przyozdobione. Pierwsza z nich otoczona jest samymi portretami biskupów krakowskich, poczynając od najpierwszego, aż do królewicza Alberta r. 1634 przed Zadzikiem na katedrze tej zasiadającego, co służy także za dowód, iż sprawione były przez tego ostatniego biskupa. Portrety te są malowane poprostu na murze, dosyć mizernym pędzlem. Sala prowadzi na prawo i na lewo do dwóch innych ozdobniejszych, w których suity płótnem obite i olejno są pomalowane. Jedno z tych malowideł wyobraża scenę na sejmie zaszłą, kiedy przed królem Władysławem biskup Zadzik oskarżał arianów o zgwałcenie figury ukrzyżowanego Chrystusa Pana w Rakowie. Rzecz się tak miała. W roku 1638 Falibowski i Babinecki, uczniowie szkoły rakowskiej w Sandomierskiem, potłukli kamieniami krzyż drewniany za miastem stojący. Chociaż rodzice i władze szkolne ukarały ich za to, jednakże sejm, przed którym Zadzik skarżył całą rakowszczyznę o zbrodnię obrażonego Majestatu Boskiego, mimo przysięgi złożonej przez Jakuba Sienińskiego, właściciela miasta, starca 70 letniego, wówczas posła, że bez jego wiedzy uczniowie dopuścili się tej swawoli, mimo protekcji i świadectw podanych przez samych katolików i innych wyznawców, sejm sprawy tej nie odrzucił, owszem senat 1 maja 1638 wydał wyrok znoszący kościół, szkołę i drukarnię Rakowianów, pod karą 10,000 złp.; co było powodem nie tylko upadku miasta, ale i całego wyznania arianskiego w Polsce. Otóż zdarzenie to, w skutkach swoich ważne, Zadzik kazał w pałacu swoim odmalować. Obraz przedstawia króla na tronie, ubranego bogato po hiszpańsku; obok niego stoi spowiednik jezuita, za nim po jednej stronie kanclerz i hetman z buławą, po drugiej osoby w cudzoziemskich



ZAMEK BISKUPÓW KRAKOWSKICH W KIELCACH.

strojach; a dokoła siedzą senatorowie i biskupi. Przed królem stoją obwinieni arianie iz oskarżenia się tłumaczą. Obraz ten, wcale nieźle wykonany, w dosyć dobrym znajduje się stanie. Malowidło na suficie w drugiej sali więcej jest zaciemnione i dlatego trudno odgadnąć co przedstawia. Zdaje się że przedmiotem jego jest jakaś narada, widać bowiem na niém osoby, przez połowę w polskim, przez połowę w cudzoziemskim ubiorze, siedzące przy stole, jak gdyby układaniem pokoju zajęte. Zresztą w obu rysunek jest dobry i kompozycya niepospolita, ubiory, charakter, twarze, największej prawdy. Podług przechodzącej się tutaj tradycyi, mają one być pędzla Tomasza Dollabelli, nadwornego malarza królów: Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kaźmirza, zmarłego w r. 1650, którego roboty, jak stało w starym miejscowym inwentarzu z r. 1668, co się niegdyś tam znajdował, był obraz przedstawiający traktat wiazemski, umieszczony wówczas w pokoju pańskim, bez wątpienia ten sam, który dziś jest przez czas zaczerwiony i zniszczony. W każdym razie wartoby, ażeby kto przy terażniejszej restauracyi bliżej się temu malarskiemu dziełu przypatrzył. Oprócz sal głównych, jest tu kilka pomniejszych pokoi, a w basztach narożnych małe gabineciki. Pyszna jest także wystawa czyli ganek od strony ogrodu, składający się z wytwornymi ozdobami rzeźbiarskimi, z ciosu lub marmuru, z kasetonami na suficie i marmurową posadzką. Ztąd cudowny widok na Karczówkę, to jest na kościół oo. bernardynów i na całą tutejszą okolicę. Wyprowadzone z fundamentu mury, kosztem i staraniem Zadzika, noszą wszędziegodła jego rodowe, na oddrzwia i futrach od okien wyrabiany herb domu założyciela, Korab' pod infułą biskupią. Lecz, jak wyżej mówiliśmy, śmierć przerwała ukończenie całej budowli, którą uzupełniali następni biskupi krakowscy, a mianowicie: Piotr Gembicki, kardynał Jan Aleksander Lipski, a nawet Andrzej Kostka Załuski; ztąd widać tu w niektórych miejscach inne herby, jakoto: *Kroje, Jelity, Łabędzie i Zagłowy*. Nadto przybudowane są do tego zamku zupełnie nowe części, jakoto: lokale na trybunał, szkołę górniczą, na pomieszczenie kancelaryi sądu kryminalnego, na mieszkanie dla profesorów i ofycjalistów górniczych i t. p. Pomimo tych przerabian zastosowanych do przeznaczenia budowy, gmach cały szczęśliwie pierwotną postać zachował i należy do ciekawych zabytków budownictwa świeckiego XVII stulecia.

Adam Kisiel, wojewoda kijowski.

(Dokończenie.)

Jak grzmot coraz dalej słyhać kiedy burza ustaje, tak i bunt kozaczy zwolna ucichał, i grzmiał coraz ciszej i coraz dalej. Chłoptwo jeszcze tu i owdzie porywało się do boju i zabijało szlachtę. Błądziły i niedobitki od głównej siły Pawluka po tym gruncie zorany buntami i polanym krwią. Skidan brodził po Zadnieprzu, włóczyli się po kraju Kukla i Skrebecz, Kizima w 4,000 ludzi hajdamaczył w Arklejach i jego oddział był najsilniejszy. Hetman łagodził wojsko, i podziękowawszy Bogu za zwycięstwo, w dzień Narodzenia Pańskiego stanął nad Dnieprem. Wtedy Kozacy rejestrowi przyprowadzili hetmanowi Kizimę i rozproszyli kompanią chłopską, następnie wojsko polskie przeszło na Zadnieprze pod Jeremijówką. Tu hetman polny pułki swoje rozdzielił na trzy szlaki: jednych pchnął do Kijowa z armaty i więźniami, drugich wysłał za Kijów aż ku morawskim statkom dla hiberny i pohamowania swawoli, trzecich zaś na stanowiska rozpuścił po Zadnieprzu. Gdy zbliżył się do Arklejów, nowe już wieści porozpuszczano o buntach wojska. Kazimenko w Łubnach spalił kościół i klasztor, pozabijał bernardynów i pochował ich nie dopuszczając, owszem trupy dla psów kazał wyrzucać, szlachtę zaś całą wyciął z kobietami i dziećmi. Słał hetman Stanisława Potockiego przodem, aby w to wejrział, imał, odsyłał i karał. Sam ruszył do Perejasławia, do swego starostwa, i po drodze mieczem karał po miasteczkach; naśladowali go wszędzie panowie ukraiński. Potem hetman puścił się do Niżyna w odwiedziny do Kisiele.

„Ochotnego gościa miawszy, jegomość p. podkomorzy czernichowski nie puszczał go z domeczku swego i ochotnie przyjmował, lubo i on sam z wojny kozackiej gościem był w domu swoim. Przyjechawszy

do Niżyna, buntowników Pieroga z pięciu starszych dał poćcinać. Tam Kozacy miechrocy Kizimenka przywiedli.“ W Niżynie zastał list Koniecpolskiego do hetmana z powinszowaniem świetnego zwycięstwa. Z Niżyna pisał Potocki 8 stycznia 1638 o winnych: „bo po co wozic ich do Warszawy na widowisko, lepiej niech otrzymają karę tu gdzie rozbijali.“ Jakoż w istocie niedługo się w Niżynie zabawiwszy, hetman polny pojechał do Kijowa, sprawy Ukrainy załatwiać.

Na nowy popis rejestrowych Kozaków, który się zatém w Trechtymirowie na popielec odprawiał, zjechał zaraz za hetmanem podkomorzy czernichowski, razem ze Stanisławem Potockim, wojewodzie braclawskim. Skidan dokazywał jeszcze na Zaporozu; wysłany tam rotmistrz Mielecki ze starszym kozackim Iliaszem, żeby przysięgę odbierał, czółna popalili. Zabranym Trechtymirów hetmanom kozackim i działła ich napowrót po miastach rozesłane. Na Ukrainie zostawiony Stanisław Potocki na miejscu hetmańskim, jako pułkownik generalny.

A Kisiel tymczasem na sejm pojechał do Warszawy. Niewielka na nim była liczba posłów i senatorów. Wojsko „za sławne, pracowite, odważne i krwawe“ służby, rzeczpospolita nagradzając hojnemi obietnicami, stanowiła kommissarzy do zapłaty zaległości. Powołany był do komputu kommissarzy i Kisiel. Zgodziła się cała rzeczpospolita na zaprowadzenie ceł, więc król popieraając myśl swoją stworzenia floty na Bałtyku, chciał być panem na brzegach i w portach morskich; ztąd nowa kommissya do ceł morskich, kommissarzem znowu obrany Kisiel. Postanowiono też doprowadzić do skutku rozgraniczenie województwa kijowskiego od czernichowskiego, i tutaj powołany nasz Kisiel z bratem Mikołajem, który już wtedy piastował urząd chorążego w ziemi nowogrodzkosiewierskiej. Opatrzono i bezpieczeństwo województwa smoleńskiego, któremu król zatwierdził biskupstwo łacińskie. Kommissarze wyznaczeni byli także do opatrywania naprawy zamków pogranicznych od Rossyi, a do rozgraniczenia tego województwa od czernichowskiego, pomiędzy innemi wybrany był i Kisiel.

Wprowadzenie nowego porządku rzeczy nie obešlo się jednak bez boju. Okolski w „kontynuacyi dyaryusza wojennego“ znowu jest naszym światłym przewodnikiem wśród tej czerni kozackiej. Pułkownik generalny uważnie opatrzył hybernę i stanowiska wojsku koronnemu; robił z siebie wszystko, co mógł tylko, aby przytłumić niespokojne duchy. „Ale Kozakowi, prawi Okolski, nadzieja i otucha wszelka jest woda, rzeka, błoto.... gdzie Kozak wody nie ma, błota albo jaru, zginął.“ Gdy się tedy na wiosnę Dniepr i rzeki zaczęły rozplýwać, pierwsze Zaporozie buchnęło znowu płomieniem i pragnęło zemsty za klęskę pod Kumejkami. Ostranica okrzyknięty hetmanem, przy nim zaś Skidan rej wodził. Nad Don posłali zaporozcy do Kozaków moskiewskich prosić o pomoc, a do monastyrów i miast na Podole, Pokucie i Wołyn powprawiali pisma i listy. Zaczęły się zaraz wojenne gonitwy. Rejestrowi Kozacy ze starszym swoim Iliaszem stanęli po stronie rzeczpospolitej. Ostranica przybył pod Hołtew nad Pszołą, miasteczko księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, i tutaj naprzód starł się z Polakami. Zasiadłszy wśród błot niedostępnych, wśród rzek i lasów, w zamku potężnie palami obwarowanym, między jarugami i strugami, Ostranica tak się bronil dzielnie, że aż wreszcie Stanisław Potocki umyślił się cofać (11 maja), w tej nadziei że Ostranicę wywiedzie z Hołtwi; ale gdy stał dwa dni na polu i nie doczekał się watazki, poszedł dalej ku Łubniom, zmyślając zupełną ucieczkę. Ostranica, nadepty pychą, wyszedł wtedy na pole z tą pewną fantazyą, że już tylko miał się przypatrywać klęsce polskiej; myślał że samym już strachem wszystko sprawi, ale z dzielnym wodzem miał do czynienia. Ciągnął go Potocki aż do Łubień, tak zgrabnie, że wreszcie otoczył Kozaków wieńcem, bo jedynie nocy ciemnej winni byli, że błotami i bagnami, to jest miejscami w których nie czuwali nad niemi Polacy, uszli coprędzej (17 maja). Wtém Putywiec z Rzepką oraz Murko chłop kisielowski przyprowadzili nowe siły na pomoc Ostranicy, a byli tam już tą razą i mołojcy z nad Donu. Putywiec znowu pod Łubniami rozbity, wydany był z Rzepką. Gdy księżę Jeremi przyprowadził nowy komput wojska, puścił się Rewera teraz dopiero w pogoń za Ostranicą, który całkiem stracił przytomność umysłu. Nazajutrz był zupełnie rozbi-

ty pod Żołwinem 13 czerwca. Uciekł do ziem rosyjskich, do których już wprzódy wysłał żonę. Hunia zajął jego miejsce na czele chłoptwa, które zasiadło przy ujściu Staricy do Dniepru i biło się do ostateczności, bez nadziei jednak, bo Polacy przewyższali dobrze siły kozackie i liczbą i doświadczeniem wojennym i artyleryą. Tutaj już dowodził naczelnie sam hetman polny, który zdążył wreszcie pospieszyć na plac boju. Głodem ściśnięci byli Kozacy i musieli się poddać, chociaż im na odsiecz przyszedł Filoneńko. Przyjęli Kozacy wszelkie postanowienia sejmowe i przysięgli rzeczpospolitej. Wzięli dozwoleństwo do domów się rozjechać, toż samo i koronne wojsko rozeszło się na stanowiska wyznaczone: bunt ustał. Bój ten stanowczy, w naszych źródłach nazywa się bitwą nad Starczą. Było to w sierpniu. Hetman znowu przez Niżyn do Kijowa odjechał. W ciągu całej tej wojny nie widać było Kisiele w obozie, zatém Potocki sam go nawidził, w nowe ustrojony wawrzyny.

Na Masłowym Brodzie stanęła kommissya ostateczna z Kozakami 4 grudnia, ale w liczbie kommissarzy nie czytamy już tam Kisiele. Kozacy stracili prawo wybierania sobie starszyny, naczelną władzę wziął nad niemi Piotr Komorowski z prawem nominowania pułkowników, którzy wybierani być mieli ze szlachty polskiej. Stolicą Komorowskiego, który wziął tytuł kommissarza rzeczpospolitej, naznaczony Korsuń. Armatę, chorągwie, buławę i wszelkie oznaki dostojności i udzielnosci hetmańskiej, oddali Kozacy temu kommissarzowi rzeczpospolitej.....

Każdy, chociaż cokolwiek obeznany z historią polską, wie jaką rolę później odegrał Kisiel w dziejach ojczyzny. Mąż znakomity, służył jej radą i piórem, a najwięcej swoim pośrednictwem chciał kozaczyzną pogodzić z rzeczpospolitą. Rola jego wielka zaczyna się dopiero za panowania Jana Kaźmirza, bo wtenczas Chmielnicki największe przeciw rzeczpospolitej uorganizował bunty na Ukrainie; cały czas od opisanych tu bojów siedział Kisiel cicho, bo i kozaczyzna nie dawała głośniejszych znaków życia. Ale Kisiel już po tych bojach Potockiego z Pawlukiem i Ostranicą stał się tak ważną w rzeczpospolitej postacią, że nie czekał długo na godności senatorskie. Ominęło go w r. 1635 województwo czernichowskie, ale to była jedynie zwłoka czasu: szlachcie tak uczony, tak zdolny i takiego serca ku rzeczpospolitej, musiał prędzej czy później zasiąść w senacie. Ztąd jeszcze Władysław IV posuwał go po krzesłach: mianował naprzód Kisiele kasztelanem czernichowskim 1 grudnia 1639 r., potem kasztelanem kijowskim w grudniu 1646 r., nareszcie wojewodą czernichowskim w lutym 1648 roku. Było to przed samą śmiercią królewską, przed samem powstaniem Chmielnickiego. W stosunkach z Chmielnickim Kisiel w czasie bezkrólewia, które potem nastąpiło, występuje najprzód jako wojewoda czernichowski, a w kilka chwil później już jako wojewoda kijowski. Janusz Tyszkiewicz umarł w marcu 1649 r. w Okrzejach i zaraz po nim wziął Kisiel województwo kijowskie w marcu, a wjeżdżał na swoją stolicę 6 listopada 1649, jak świadczy Jerlicz w kronice. Umarł Kisiel 3 maja 1653. Mamy tę datę z nagrobku świeżo odkrytego w Brusilowie; ciekawy artykuł o tym nagrobku, który z bogacił naukę ważnymi datami, znajduje się w Tygodniku Petersburgskim z r. 1843 nro 39. W treści powtórzyła go Starożytna Polska w historii Brusilowa.

Obszerniej ten żywot Kisiele, na skalę jakiej tu wzór daliśmy, opracujemy w osobnej książce. Stosunek Polski do Rusi najdokładniej się rozwinie w tym obrazie życia znakomitego człowieka, i dla wykazania tego właśnie stosunku, postanowiliśmy obszerniej wystawić zawód polityczny Kisiele.

Julian Bartoszewicz.

WSPOMNIENIA Z WYCIECZEK PO GALICYI, BUKOWINIE I MOŁDO-WOŁOSZCZYŹNIE.

I. GALICJA.

(Ciąg dalszy.)

W odległości małej mili od tego miasteczka, leży piękna wieś Truskawiec, w romantycznej pod samemi Karpatami okolicy, gdzie się znajdują wygodnie i z gustem urządzone kąpiele jodowe, najwięcej może od-

widzane ze wszystkich źródeł mineralnych galicyjskich. Po co nam szukać wód zagranicznych i owych przesławnych okolic, kiedy posiadamy własne, urządzone z wygodą i przystępne, a widoki z gór karpackich i Tatrów piękniejszymi są dla nas od szwajcarskich, boć to rodzinne.

Z Truskawca zrobiliśmy wycieczkę pomiędzy góry, chcąc oglądać sławne skały w Uryczu. Dziwna i ludzka swawola natury przedstawia się w tych skałach. Z pewnej odległości wydają się one niby staremi zamkami, w których baszty, bramy, mury zbudowane najsymetryczniej ręką ludzką; to znowu przedstawiają niby postacie starców siedzących; to twarz śmiejącego się olbrzyma, z oczyma wzniesionemi ku niebu, przypominającą owe twarze ogromne z szyderczym uśmiechem, wykute z kamienia, a służące za ozdoby muru szczytowego sukienic w Krakowie, od strony ulic Szewckiej i Sienniej. Za zbliżeniem się, złudzenie niknie, i dopiero wtenczas poznajemy że to dzieło natury nie sztuki. Droga tu nieprzystępna dla koni. Ponure i milczące ruiny, jakby miasta, baszty, mury i roztrzaskane ręką czasu odwieczne zamki, przedstawiają malowniczy obraz strasznego pobojo-wiska rozhukanych żywiołów. Spadające w gwałtownym pędzie potoki, urywają kawały skał i kamieni, a rozrzucone tu i owdzie urwiska świadczą o zaciętej walce przyrody. Przepaściste jary, bezdenne otchłanie, ukrywają się wśród tych granitowych sklepień i ścian niepożytych. Czarne, wyniosłe jodły zdają się być tylko wątlami łądogami kwiatów, przytym chaosowym ogromie skał i kamieni. Pomiedzy dwiema ścianami, które się zapewne w skutek trzęsienia ziemi lub wulkanicznego działania rozstały, zawisł ogromny kawał skały, i tak wisieć będzie zapewne aż do drugiego trzęsienia; odkąd zaś wisi, niewiadomo.

Wyobraźnia tylko ludzka nadała i temu zjawisku natury pewne znaczenie. Diabeł, mówi podanie, niosąc do piekła duszę czarnoksiężnika, przypadkiem wypuścił ją ze szponów, nie mogąc jej zaś w lot pochwycić, zaklął ją w kamień, który uderzywszy o skałę, rozwalił ją na dwoje. Skała pękła, a dusza kamienna wisi nad przepaścią. Ciągnie się dalej cały szereg skał coraz niżej ku rzece, niby mur Tytanów, a na jego szczycie siedzą w płachty zawinięte, zadumane czarownice, skamieniałe według powieści, za swoje złe sprawy. Pokazywali nam także pastuszkowie tak zwaną kamienną studnię pomiędzy skałami. Jest to jaskinia czyli głęboka rozpadlina, podobna do cembrowanej studni kamienniej; ale przystęp do niej, jakina szczyt wszystkich powyżej opisanych olbrzymów, jest bardzo niebezpieczny. Dowiedziawszy się w Truskawcu, gdzieśmy przyjemnie czas jakiś przepędzili, że w Przemyślu znajduje się starożytny zamek, postanowiliśmy go zwidzieć. Przemyśl od strony Jarosława, z powodu górzystego swego położenia przedstawia się bardzo pięknie. Stare to gniazdo ruskie leży na trakcie wschodnim do Lwowa. Również jak Jarosław, posiadało niegdyś warowną twierdzę i było miastem bardzo handlowym. Zamek na górze majesze dwie całkowite baszty i mury zachowane w całości; pokoje tylko zamkowe stoją pustkami. Kaźmirz W. zdobył ten zamek Wołodarów; później znów wnuka jego Jadwiga, wypędzając Węgrów z Rusi, odebrała go z rąk nieprzyjaciół. Cała niegdyś naga zamkowa góra, dziś zamieniona w piękny ogród, z kąd się otwiera wspaniały widok na wijące się nurty Sanu, który bieg ma tak kręty, że w przestrzeni półczwartej mili pomiędzy Jarosławem a Przemyślem, długość jego wynosi 25 mil geograficznych. Pomiedzy zamkiem a kościołem farnym wiodły z sobą zacięte boje znakomite a niespokojne rodziny Herburtów i Drohojowskich, o których pisze Siarczyński. W kościele franciszkańskim i benedyktynek znajdują się obrazy przedstawiające srogie męczarnie franciszkanów, zadane przez Tatarów w czasie ich napadu. Stoi dotąd także wieża pogorzałego kościoła ruskiego, z której jeden z obywateli Przemyśla, wycelowawszy śmigownicę, zastrzelił, jak wieść niesie, pod namiotem obozującego hana tatarskiego. Tatarzy wnieśli mu rękami mogiłę i postawili na niej pomnik dziś jeszcze istniejący. Przemyśl ma około 12 tysięcy mieszkańców, dwóch biskupów, łańciskiego i ruskiego obrządku, dwa seminaria, liceum filozoficzne, drukarnią polską i ruską.

Jadąc ztąd przez Medykę, Mościska, następnie przez Sądową Wisznę i Gródek, przybyliśmy nareszcie do Lwowa, niegdyś stolicy króla ruskiego Leona. Lwów dzisiejszy do Wiednia z życia i ruchu jest po-

dobny. Zabawy, rozrywki, zbytki, próżniactwo, niemczyzna, oto główne jego cechy. Klasa tylko średnia, jak wszędzie tak i tu pozostała wierną dawnym obyczajom. Magnateria salonowem bawi się życiem, biurokracya swoim idzie trybem. Uczni tutejsi, dążąc za postępem czasu, pracują szczerze i wiele. Przodują im: August Bielowski, Szajnocha, Szmitt i wielu innych. Biblioteka i uniwersytet, spalone bombardowaniem, dźwigają się z gruzów powoli. Ratusz nowo odbudowany, z wysoką wieżą, przedstawia niby wspaniałą bóżnicę, z wysokim kominem fabryczno-parowym. Zamiast groźnie brzmiącego starożytnego zegara, brzęczy pokornie jakiś dzwonek. Kościoły lwowskie nie mogą iść także w porównanie ze wspaniałymi świątyniami Krakowa. Najznakomitsze są: kościół katedralny bernardynów, gdzie się znajduje cudowna studnia św. Jana z Dukli; kościół dominikanów, z kopułą wspaniałą, teatynów, ormiański kościół ruski św. Jura, stojący na górze przy wjeździe do Lwowa od zachodniej strony. Szpital pijarski na Łyczakowie odznacza się budową wspaniałą. Szaniec turecki, dziś cytadella, wznosi się wysoko nad miastem; u stóp jej biblioteka Ossolińskich, słynie skarbem mądrości ludzkiej wiekami nagromadzonym. Lwów leży w kotlinie, dokoła otoczony górami, a z wysokiego zamku przedstawia się cudny widok na okolicę.

Roku 1269 Leo król halicki, trapiiony od Tatarów, posunął stolicę ku północy i założył Lwi horod (Lwów). Nad bramą halicką stał niegdyś następujący napis: *Leo mihi fundamentum jecit, posteris dedere nomen Leontopolis.* (Leo mnie założył, potomność Lwowem nazwał). Umarł Leo we Lwowie r. 1301. Kaźmirz W., karząc Rusinów, że otruli jego synowca Bolesława, zdobył miasto; ale prześlągany, nadał mieszkańcom przywileje i wolność wyznania. Służyli też potem Rusini wiernie krajowi, wydawszy takich mężów, jak Konstany Ostrogski, Wiśniowieccy, Czartoryscy i t. p.

Po odegraniu we Lwowie przez mego towarzysza podróży dwóch koncertów, udaliśmy się do Stryja.

Miasteczko to porządnie zbudowane, rynek obszerny; na przedmieściach piękne wille z ogrodami, gdzie zwykle zamieszkuje szlachta okoliczna. Rzeka Stryj za miastem odznacza się nadzwyczajną bystrością pędu, a przytym woda jej jest tak przezroczysta, że dno kamieniste na głębi nawet widzieć się daje. Kąpiele w téj rzece są bardzo zdrowe. Tu corocznie prawie zjeżdża do swych dóbr nad Stryjem, dla brania letnich kąpiei, król skrzypków naszych, Karol Lipiński z Drezna.

Za miastem, to już prawdziwa Ruś; brzmią po karczmach i łańcach pieśni ruskie przeciągłe i smętne, dźwięczą kołomyjki. Lud dorodny, szczerzy i gościny, a tam precz za Halicz. Inna już ziemia podolska, inne życie, niebo przejrzystsze, powietrze czyste, otwarte; gdzieniegdzie tylko pagórki, a zresztą równina nieprzejrzana okiem. Podole ma istotnie w sobie coś tak uroczego, coś tak błęgiego, że trudno się oprzeć jakimś dziwnie tkliwym uczuciom serca, wjeżdżając do téj malowniczej krainy, do tego teatru dziejów Europy, gdzie się nieraz waliła ściana bisurmanów, polskim złamana orężem. Podole, to kraj melonów; kawonów, kukurydzy, fasoli szparagowej, wina i owoców. Po lasach rosną wyborne gruszki, jabłka iśliwki; chaty wieśniacze ocienione kukurydzą; domy szlacheckie w ogrodach hodują wino, wyciskają je i przerabiają na szampan biały i różowy, nieustępujący w niczem sklepowemu. Tytuł podolski jest wyborny; nie ma aromatu tureckiego, ale smak doskonały, goryczkowy. W Bolechowie, gdzieśmy kilka dni zabawili, poznaliśmy starca 120 lat mającego, który jeszcze tak był zdrowym i czerstwym, że co niedziela chodził do kościoła śpiewać różaniec. Pamiętał czasy Sasów. Opowiadano nam cuda o skałach we wsi Bubniszczu; postanowiliśmy je zwidzieć i wybraliśmy się w góry drogą kamienistą i leśną. Zdaleka już ujrzelśmy ogromną niby wieżę, wznoszącą się ponad lasy, której wysokość przenosi 200 stóp. Jestto słup granitowy, czy z piaskowca, u góry szerszy jak u dołu, podobny do cedru lub topoli. Utrzymują niektórzy że to przedpotopowy cedr mułem obrosły i skamieniały. O parę set kroków od tego słupa znajduje się druga bryła ogromem zadziwiająca, w której upatrzeć można podobieństwo do siedzącego Napoleona, a za nim jakoby stojącego jego słynnego mameluka w turbanie. Wieść niesie, że słup główny z tą skałą połączony był napowietrznym

mostem na drutach żelaznych, i miała tam być główna siedziba sławnego rozbójnika Dobosza, którego banda roznosiła postrach w Karpatach. Że opryszki tam przebywali, z tego można wnosić, iż w skałach znajdują się ręką ludzką wykute kurytarze i różne komnaty z oknami. Na wierzchołek skały można wejść od zewnątrz, ale trzeba znać kręte ścieżki i stopnie. Pastuchy miejscowe znają je dokładnie i służą za przewodników; ale biada temu, coby się poważył wejść tam sam jeden! Anglicy, którzy wszystko co sławne i godne widzenia radziby poznać osobiście, lepiej może znają Bubniszcza skały, jak my krajowcy. Opowiadano nam że jeden turysta Anglik ośmielił się sam jeden wejść na szczyt téj skały, ale straciwszy ślad swojej przeprawy, nie był w stanie potem zejść z góry napowrót, bez narażenia się na niebezpieczeństwo utraty życia. Przepędził nieborak trzy dni i dwie nocy, siedząc na skale, wycieńczony głodem, strachem i rozpaczą. Dopiero przechodzący góral, usłyszawszy wołanie, sprowadził napół umarłego Anglika na dół i pokrzepił mlekiem i chlebem.

Okolica ta ponura, posępna, przejmuje jakąś niewymowną trwogą, jakimś uczuciem tłoczącem pierś. A przecież jakże tu pięknie w téj samotności! Żywiczna woń lasów, chłód w czasie letnich upałów, odwieczne milczenie głązów, majestatyczna wysokość i dziwne kształty szczytów olbrzymich, tajemnicze w duszy obudzają uczucia. Szelest tylko i szmer wietrzyka po granitu szczelinach, odgłos złowieszczny puszczyka i łoskot spadających kamieni niemiłe czynią na wędrowcu wrażenie.

Pośród tych przedpotopowych mass zaskoczyła nas niespodzianie straszna burza. Czarna noc okryła nagle wszystko całunem. Zerwały się wichry, jak szatany tańczące po wierzchołkach drzew, świszcząc i wyjąc piekielnym rykiem po szczytach skał granitowych. Niebo zapalało się płomieniami błyskawic, gromów huk rozbijał się echem po jarach. Lunął deszcz rzesistym strumieniem, potoczyły się gwałtowne z gór potoki i kaskady, grożąc drugim potopem wśród przedpotopowych zjawisk natury. Straszna to była a zarazem uroczysta chwila dla nas. Schronieni w wykutą jaskini, złożyliśmy ręce do modlitwy; i wkrótce jakby cudem ustała walka rozhukanych żywiołów. Szum rzek zamienił się w szelest mrujących strumieni, wiatry umilkły, a echo ciężkiego grzmotu gdzieś zdala turkotało po gór szczytach.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CHWILA ŻARTU I PUSTOTY.

(Tekst Wład. Maleszewskiego, rysunek F. Kostrzewskiego.)

II.

SZERMIERZE

(Dokończenie).

- A pan to nic? ostro mnie staruszek zapytał.
 — Ja nie umiem, ja za młody do takich ćwiczeń, tłumaczyłem się składając ręce.
 — Za młody? was? A moje dzieciaki? Pozwólcie panowie, ja ich tu sprowadzę.
 I Niemiec, nieczekając naszego pozwolenia, wyszedł do sieni i krzyknął: Kinder! Kinder! W oka mgnieniu pędziło po wschodach massa dzieciaków większych i mniejszych, odzianych w kuse koszulki. Pan Krystyan wprowadził ich do pokoju, ustawił szeregiem i zakomenderował:
 — Ćwiczenie czwarte, — *spring!* I dzieciaki jak jeden w górę fiknęły.
 — Na dół, *klaps!* I dzieciaki padły jak nieżywe.
 — A co, toś pan do takich rzeczy niezdolny?
 — Próbuj mój chłopcze, przemówił pan Maryan, biorąc kij w rękę.
 — Nie mam ochoty.
 — Skacz pan! zawołał Blutwurst.
 — Musisz — zlituj się, skocz choć tylko raz jeden! zaklinał mnie Fartuszkiewicz, i ja rad nierad musiałem kij przesadzić; ale wysilenie było wielkie, bo aż w krzyżu coś trzasnęło.
 — Zlitujcie się, boli.
 — To nic, kości wchodzą w horyzont. Skacz raz jeszcze!
 — Słicznie! będzie z ciebie człowiek, zdecydował pan Maryan, gdym ja zmęczony upadł na krzesło.
 — A znasz pan ćwiczenie dodatkowe? zapytał Krystyan.

— Może widły, ot tak.
 — Nie widły, ale na schodach.
 — Na schodach? Nie, nie znam.
 — Chodź pan! *Kinder!* za mną! powiedział dyrektor i pierwszy wyszedł do sieni, a gdy świecę postawiliśmy na ziemi, krzyknął:



Rad nierad, musiałem kij przesadzić, aż w krzyżu zatrzeszczalo

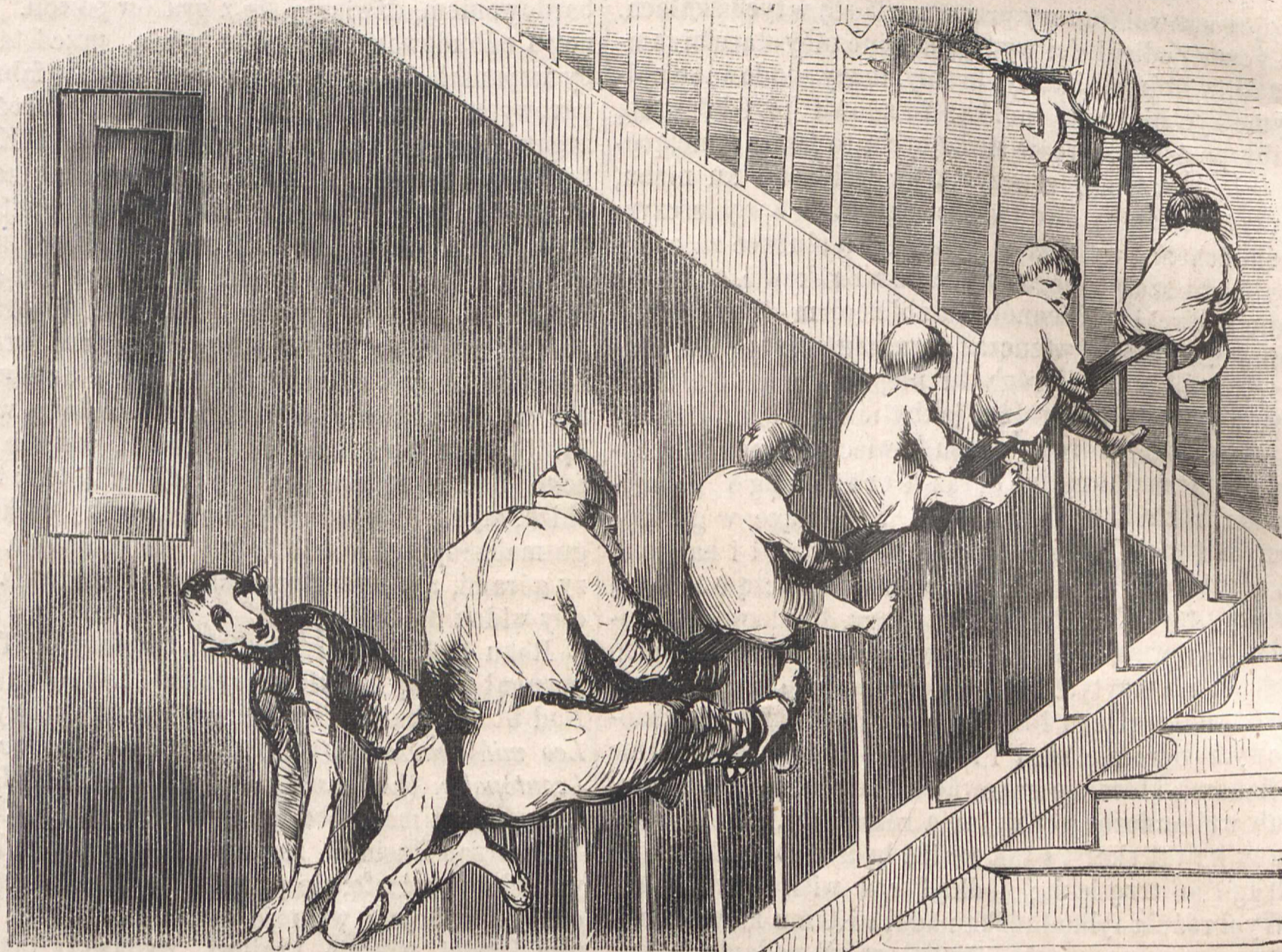
— Chłopaki w szereg—*eins, zwei, drei!*
 — A co? zapytał, gdy dzieciaki, dawszy koziołka w powietrzu, skoczyły na dziesiąty gradus.
 — Pyszne! boskie! wołał Fartuszkiewicz, podrygując do podobnegoż skoku.
 — To mój wynalazek, pochwalił się Niemiec z niepomiarkowaną dumą i zapytał: A druga część, szlichtada, wynalazku profesora i magistra Müllera?
 — Szlichtada?
 — A tak, szlichtada z góry na dół, po poręczy od schodów.
 — To genialny pomysł! Panie, ja jadę.
 — Pojedziem razem—*Kinder*, na koń! zakomen-

derował staruszek, i wszystkie dzieciaki wskoczyły na poręcz, a na czele ich pan Maryan i Krystyan, z dumą na twarzy, z rokoszą w oczach, poważnie zjeżdżali na dół.

— Teraz na pana kolej, znowu się do mnie zwrócili; a ja, czując że się nie oprę ich natręctwu, solo przejechałem poręcz, zrobiłem kilka manewrów

— Wierz tylko i pracuj, a kalectwo twoje zginie! z namaszczeniem powiedział staruszek, i unosząc szlafmycę, pożegnał nas poważnie....

Rozeszliśmy się. Ze złorzeczeniem na ustach kładłem się do łóżka, lecz gdy zasnąłem głębokim, gdy się nazajutrz obudziłem z myślą trzeźwą jak nigdy, gdy poczułem w całym ciele zbawienne skutki



Z rokoszą w oczach, poważnie zjeżdżali na dół.

z hantlami i zmęczony, potem zlany, wzniosłem głos błagalny:

— Panowie, zlitujcie się, na dziś już dosyć!



Ćwiczenie stróża domu.

— Słońce już wschodzi, a po ośmiu ćwiczeniach należy się przespać pół godziny, powiedział pan Krystyan i przystąpił do okna. Patrzcie panowie,— zawołał po chwili—i to mój uczeń, czy nie tęgi?

Spojrzelismy na dziedziniec, a tam przy pierwszym brzasku różowej jutrzeńki, stróż domowy, kulawy na jedną nogę, stoi z miotłą w ręku i wyłamuje się podług zasad Blutwurst; żona targa go za rękawina-pędza do zamiatania podwórza, a on, odpychając ją od siebie, woła:

— Precz babo! jak się będę wyciągał, to i nogi przybędzie — nie będziesz już przezywać mnie kulasem.

wczorajszej łamaniny, błogosławiłem Fartuszkiewicza i Blutwurst, zapragnąłem pomnikiem uczcić wszystkich professorów i doktorów gimnastyki, oraz wydawcę polskiego o niej dziełka. Nie zwlekając ani chwili, kupiłem linkę, hantle i inne przyrządy, zapakowałem wszystko w pudła, z których wyrzuciłem cukierki i sznurówkę, napisałem list zaklinający, i ten oryginalny prezent posłałem mojej drogiej Anielce.

Czytelnicy, może ciekawi jesteście skutku? O najpiękniejszy: po dwóch miesiącach gimnastycznych ćwiczeń jam olbrzym: — trzy noce z rzędu mogę przesiedzieć nad stolikiem... i ani pomyśle o spaniu; ośm machnięć zrobię szablą i dopiero za dziewiątym ręką omdlewa. A od Anielki w tych dniach właśnie list odebrałem, w którym prosi mnie już nie o mdłe cukierki, ale o jakie ostre konfitury, nie o „*l'Amour*“ Micheleta, ale o polskie a poczciwe książki, a w dopisku przypomina... że termin naszego ślubu nadchodzi.

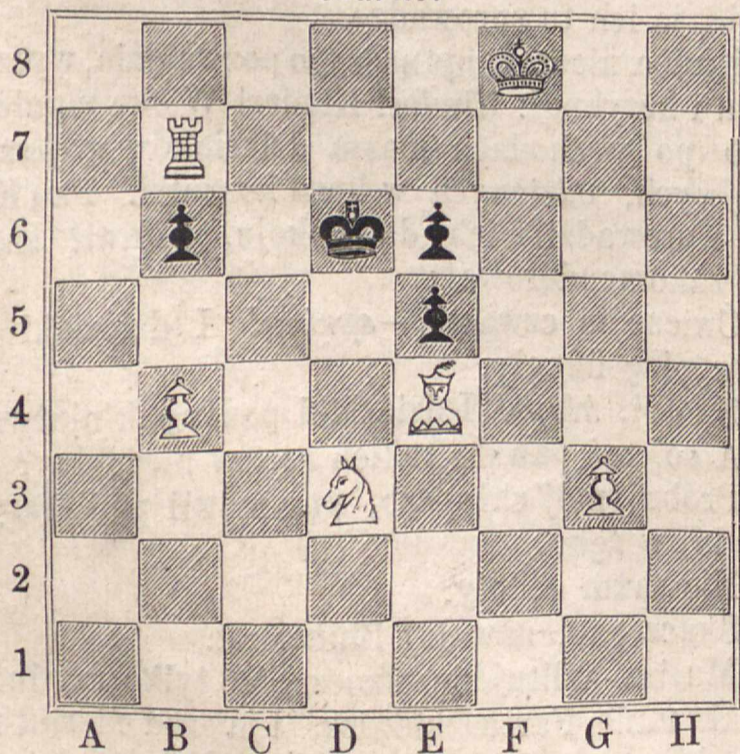
SZACHY.

ZADANIE XXXIV.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem, bez poruszenia swego króla.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 33.

Białe.

Czarne.

- 1) H 7 — D 7 bierze . 1) C 5 — D 7 bierze.
- 2) F 1 — D 3 2) E 4 — D 3 bierze.
- 3) D 2 — C 4 † i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 46.

Czas traci, czas płaci.